

## ZIMBABWE - Dzień pierwszy. Wierzyć tylko własnym oczom!

Dodane dnia 2011.09.21 -- **Zaktualizowano dnia** 2014.04.15

Wpis dotyczy kraju: [ZIMBABWE](#) [1]

[Zobacz wszystkie wpisy Adeli z kraju: ZIMBABWE](#) [2]

- [Newsletter biketheworld.pl](#) [3]

### 21.09.2011 Mutare

Dziś dotarliśmy do Zimbabwe! Ależ mi się tu podoba! Aż trudno uwierzyć, że jeszcze wczoraj wahaliśmy się i zastanawialiśmy, czy warto wjeżdżać do tego kraju...

Już w kwietniu, słyszeliśmy od konsula RP w Nairobi, że do Zimbabwe pod żadnym pozorem mamy nie jechać, ponieważ kraj ten się rozpadł, nie istnieje tam żadna państwowość, szaleje inflacja i panuje anarchia. Właściwie to te właśnie słowa spowodowały, że zainteresowaliśmy się wyprawą do Zimbabwe. Jak już pisałam, za każdym razem bowiem, im kraje gorszymi opiniami się cieszyły, tym przyjaźniejszych ludzi w nich spotykaliśmy. Najlepszym przykładem jest tu Sudan, w którym spotkaliśmy najbardziej pokojowych, przesympatycznych i spokojnych ludzi. Czuliśmy się bezpiecznie zarówno w miastach, wioskach jak i na pustyni. Nie mieliśmy żadnych nieprzyjemności, ani choćby cienia poczucia zagrożenia. Gdy jednak pośród krajów przejechanych wymieniany Sudan, ludzie robią wielkie oczy ze zdumienia i pytają, czy nie baliśmy się jechać przez ten bandycki kraj ogarnięty wojną! Tak więc, gdy tylko usłyszeliśmy te niepocholebne opinie o Zimbabwe, stwierdziliśmy, że warto tam zajrzeć i sprawdzić czy rzeczywiście jest tam tak strasznie. Od momentu, gdy podjęliśmy tę decyzję, nie zastanawialiśmy się nad tym już więcej. Po prostu jechaliśmy przed siebie, przez Kenię, Tanzanię i Mozambik, zmierzając powoli do Zimbabwe. Gdy jednak dotarliśmy do Chimoio, przedostatniego miasta przed granicą pomiędzy Mozambikiem a Zimbabwe, dopadły nas poważne wątpliwości. Wszyscy bowiem napotkani Mozambijczycy robili wielkie oczy na wiadomość, dokąd jedziemy. Reakcja była prawie zawsze taka sama - „Dokąd?! Do Zimbabwe?? Przecież tam nie ma czego szukać. Chyba, że guza. Tam nie ma nic! Nie ma dróg, szpitale nie funkcjonują, szaleje inflacja, panuje cholera, no a sami Zimbabweńscy są bardzo wrogo nastawieni do białych. Poza tym, tam nawet półki w sklepach są puste, więc Zimbabweńscy, do nas przyjeżdżają na zakupy.

Zastanówcie się czy na pewno chcecie tam jechać, szukać kłopotów.” Początkowo niezrażeni drążyliśmy temat dalej, ale docierały do nas za każdym razem podobne informacje. W akcie desperacji, postanowiliśmy zasięgnąć porady z internetu. Zaczęliśmy przeszukiwać blogi podróżnicze ale ku naszemu zdumieniu, nie mogliśmy znaleźć żadnych wpisów z tego roku, poza paroma wpisami z turystycznych miejsc jak wodospady Wiktorii. Żadnych blogów włóczykijów, niezależnych podróżników. Żadnych też doniesień w prasie o obecnych nastrojach politycznych. W takiej sytuacji, trafiliśmy na strony rządowe - poradniki dla podróżnych na stronach ambasad Polski, Wielkiej Brytanii, USA i Australii. BŁĄD, SKUCHA, WIELKI BŁĄD!!! Wróciliśmy do kościoła, w którego garażu mieliśmy rozbity namiot i zaczęliśmy czytać te ambasadorskie mądrości.

Na wszystkich trzech stronach, wszystkich uaktualnionych rzekomo w czerwcu, lipcu oraz sierpniu tego roku, widniały te same informacje o Zimbabwe - totalny rozpad, bandytyzm, bieda, rasizm, napady z bronią, aresztowania, pobicia i morderstwa białych, pustki w sklepach, brak paliwa, prądu, rozwalone drogi, szalejąca cholera i malaria w całym kraju, a do tego we wrześniu ma odbyć się referendum które może doprowadzić do strzelanin i zamieszek zarówno w miastach jak i wioskach. Aby pełniej przedstawić obraz Zimbabwe, jaki się przed nami rysował oraz lepiej móc wytłumaczyć dlaczego obawialiśmy się wjazdu do tego kraju, poniżej przytoczę niektóre informacje, które widnieją na rządowych stronach.

Informator dla podróżnych Polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych:

W Zimbabwe nie ma agenta polskich towarzystw ubezpieczeniowych. Zaleca się więc ubezpieczenia osobowe w renomowanych firmach międzynarodowych. Praktycznie w całym kraju występują ogniska cholery. Miejscowe służby sanitarne i medyczne są niewydolne, infrastruktura wodociągowa i kanalizacyjna funkcjonuje jedynie w dużych miastach (Harare, Bulawayo). Bardzo duża jest zachorowalność na AIDS. Brak opieki medycznej o standardzie europejskim. W nielicznych szpitalach w Harare możliwa jest jedynie opieka o charakterze interwencyjnym. Występują okresowe braki paliwa – zarówno benzyny, jak i oleju napędowego. Bardzo zły stan dróg publicznych.

Częste blokady dróg. Nie zaleca się korzystania ze środków komunikacji publicznej ani podróżowania po zapadnięciu zmroku. W czasie podróży należy zamykać okna i drzwi samochodów. Należy nosić przy sobie poświadczony notarialnie bądź w ambasadzie kopie dokumentów tożsamości.

Istnieje poważne zagrożenie przestępczością zarówno w miastach Harare i Bulawayo, jak i na terenach wiejskich. Nierzadkie są przypadki kradzieży pieniędzy i paszportów z pokoi hotelowych. W związku z kryzysem polityczno-społecznym wzrosła liczba napadów z bronią w rękę, których ofiarami są często właściciele luksusowych samochodów.

Nie ma polskiej placówki dyplomatycznej. Najbliższe polskie przedstawicielstwo dyplomatyczne to Ambasada RP w Pretorii (RPA).

Do tego na stronach ambasad Wielkiej Brytanii, USA i Australii przeczytaliśmy co następuje:

Od początku 2011 roku zanotowano wzrost zastraszania oraz przemocy na tle politycznym zarówno na obszarach wiejskich jak i miejskich (także na przedmieściach Harare). W lutym 2011 uzbrojony gang Weteranów najechał i spustoszył centrum biznesowe Harare.

Podczas kampanii wyborczej w 2008 roku odnotowano liczne zatrzymania, pobicia, tortury i morderstwa przeciwników prezydenta Mugabego oraz jego partii rządzącej ZANU (PF) – członków opozycji, pracowników organizacji pozarządowych, prawników i innych postrzeganych jako przeciwników rządów Mugabego. Policja nie reaguje i nie interweniuje w przypadkach przestępstw na tle politycznym.

Od 2000 roku większość farm przemysłowych należących do białych jest okupowana lub została przejęta przemocą przez tzw. Weteranów Wojennych.

Należy być niezmiernie uważnym odwiedzając nieznanie sobie obszary rolnicze ze względu na szalejących tam i szerzących bezprawie Weteranów Wojennych.

Na skutek kiepskiej sytuacji politycznej, przestępczość jest dużym problemem w Zimbabwe.

Większość napadów odbywa się bronią palną. Wielu turystów (amerykańskich) zostało obrabowanych i pobitych w centrum Harare.

Drogi są w fatalnym stanie a wypadki drogowe są częstą przyczyną zgonów. Pomoc medyczna jest ograniczona jedynie do podstawowych zabiegów a ambulans może nie dotrzeć na miejsce wypadku z powodu braku paliwa.

Policja bardzo często stosuje oznaczone, bądź nie (ad hoc) blokady drogowe. Należy zachować niezmierną ostrożność zbliżając się do nich, szczególnie nocą. Jeśli zostaniesz zatrzymany, staraj się współpracować z oficerami i stosuj się do ich poleceń. Jeśli to tylko możliwe miej ze sobą telefon komórkowy bądź jakiś inny, alternatywny środek komunikacji.

W miastach częste są rabunki aut z bronią. Należy mieć zawsze zablokowane wszystkie drzwi. Nie poleca się zatrzymywania na światłach. Zbliżając się do skrzyżowania należy zwolnić odpowiednio, tak aby w międzyczasie światło zmieniło się na zielone. Nie zaleca się też zatrzymywania na poboczach, szczególnie w okolicach Beitbridge.

Przestępstwem jest niezatrzymanie się gdy zbliża się prezydencka kolumna samochodowa. Gdy nadjeżdża prezydent, należy zjechać na pobocze i niezwłocznie się zatrzymać, niezależnie po której stronie drogi się znajduje. Znane są liczne przypadki przemocy wobec kierowców za to, że zatrzymali się w niewłaściwym miejscu lub nie zatrzymali się odpowiednio szybko na widok nadjeżdżającego prezydenta.

Krytykowanie prezydenta Mugabego oraz jego rządu jest niezgodne z prawem. Należy unikać jakichkolwiek dyskusji politycznych. Nie wolno mieć żadnych materiałów uważanych przez rząd za obraźliwe.

Otwarta dłoń jest symbolem opozycji. Nie należy więc machać do nikogo, ponieważ ten przyjazny gest może to być odebrany jako wyrażanie swoich poglądów politycznych.

Nie wolno fotografować siedziby prezydenta, centr przesyłowych energii elektrycznej, poczty, ani

skupisk ludzi. Zdarzało się, że turyści byli przetrzymywani przez policję godzinami za zrobienie zdjęcia kościoła, meczetu czy synagogi.

Obcokrajowcy podejrzani o działania przeciw rządowe, są wtrącani do aresztu i przetrzymywani tam od 48 godz do 14 dni. Nierzadko konsul nie dostaje prawa na odwiedzin zatrzymanego. Często też ambasada w ogóle nie jest informowana o zatrzymaniu obywatela jej kraju.

Z powodu zapaści służby zdrowia, większość poważnych chorób lub wypadków wymaga ewakuacji medycznej do Republiki Południowej Afryki przy czym zarówno szpitale w Zimbabwe jak i firmy zajmujące się organizacją ewakuacji medycznej, oczekują natychmiastowej zapłaty w gotówce. Nawet w poważnych wypadkach drogowych, nie zostanie udzielona pomoc, jeśli nie zapłaci się 2 tys. dolarów amerykańskich na pokrycie podstawowych kosztów leczenia.

Z powodu braków paliwa, ofiary wypadków muszą same zorganizować sobie transport do szpitala. Należy zabrać ze sobą wszystkie niezbędne leki, ponieważ w Zimbabwe brakuje nawet podstawowych medykamentów.

Z powodu szalejącej cholery powinno się pić wyłącznie butelkowaną lub przegotowaną wodę raz jeść potrawy wyłącznie przygotowane na butelkowanej lub przegotowanej wodzie,

Na koniec znaleźliśmy pobudzające wyobraźnię statystyki konsulatu brytyjskiego w Harare:

W okresie od 1.04.2010 - 31.03.2011, 28 obywateli Wielkiej Brytanii wymagało opieki konsularnej, z następujących powodów: 17 zgonów, 2 hospitalizacje i jedno aresztowanie.

Po przeczytaniu tego wszystkiego oraz z powodu nieustannych komentarzy ze strony Mozambijczyków, jedynie potwierdzających te informacje, wszystko nam w głowach wirowało. Nasze nastroje dotyczące wjazdu do Zimbabwe zmieniały się parę razy w ciągu godziny. Jedziemy, nie jedziemy, jedziemy, nie jedziemy, jedziemy, nie jedziemy, jedziemy, nie jedziemy...

Pod koniec dnia, ruszyła maszyna wyobraźni i zaczęliśmy snuć najgorsze scenariusze:

Po pierwsze skojarzyło nam się to wszystko z atmosferą z filmu o Ugandzie - „Ostatni król Szkocji”, w którym to właśnie, prezydent mający się za króla stał się panem życia i śmierci swoich ludzi. Zaczęłam widzieć oczami wyobraźni panoszących się murzynów z kałasznikowami na blokadach drogowych. Groźnych i nieobliczalnych, tak bardzo nieobliczalnych jak tylko może być biedak, któremu dali do ręki władzę. Zaczęliśmy zastanawiać się nad tym, co będzie gdy nas zatrzymają na blokadzie i wymyślą jakiś powód, by wsadzić do aresztu? Przecież nasza ambasada jest dopiero w RPA, nawet nam nie będą mogli pomóc! Do tego wizja szalejących po kraju, uzbrojonych Weteranów Wojennych, prezydenckich dzikich eskort samochodowych i policjantów, którzy za zrobienie zdjęcia wózka z warzywami mogą zgarnąć cię do ciupy. Nie, nie uśmiechało nam się to wszystko!

Do tego Krzycho dopiero co przeszedł malarię i wiedzieliśmy, że w Zimbabwe będziemy musieli ponowić testy, aby upewnić się, czy choroba rzeczywiście została wyleczona. Wszyscy napotkani Mozambijczycy zgodnym chórem mówili - „Co ty, zapomnij! W Zimbabwe nikt ci nie zrobi takich testów! A jeśli będziesz miał nawrót choroby, nie zdobędziesz nigdzie leków!”

Po wypadku Rafała, który przeżyliśmy w Kenii, oczywiście jeszcze inne myśli zaprzętały mi głowę. Myśli, których wcześniej raczej nie miewałam, a teraz, nauczona już doświadczeniem, zaczęłam brać też i takie opcje pod uwagę - A co jeśli któreś z nas będzie miało wypadek? Jak wezwiemy pogotowie (nie mówiąc już o helikopterze, który w Kenii uratował Rafałowi życie), skoro sieć komórkowa nie łąpie nigdzie poza dużymi miastami? Jeśli nawet uda się połączyć, to jak do nas dojadą, skoro notorycznie nie mają paliwa? A jak w kraju nie ma paliwa, to nawet nie ma co liczyć na pomoc kogoś z prywatnym samochodem...A co jeśli ktoś z nas będzie miał tak poważne obrażenia jak Rafał? Przecież w szpitalach nie ma nawet podstawowych leków, nie mówiąc już o poważnej operacji! A nawet jeśli przyjedzie pogotowie i będą mieli odpowiedni sprzęt w szpitalu, jak za to zapłacimy z góry tysiącami dolarów, jeśli nasze ubezpieczenia nie są w Zimbabwe rozpoznawane?

I tak rozmyślając długo, w końcu poczułam, że to nie ma sensu. Po co mamy ryzykować, tylko po to, żeby udowodnić, że urzędnicy siedzący za biurkiem w ambasadzie nie mieli racji? Z jednej strony z własnego doświadczenia, wiem doskonale, że nie ma co słuchać ani pesymistów, których zawsze jest pełno wkoło, ani doniesień z mediów ani ambasadorskich opinii. Ale z drugiej strony, gdzie jest ta granica, od której może powinno się jednak trochę nadstawić uszy na to co mówią inni? Tylko gdzie jest ta granica? Po co mamy ryzykować, żeby łamać kolejne stereotypy? Już prawie całą Afrykę przejechałam, jesteśmy niemal u kresu tej podróży, do tej pory cali i zdrowi. Po co mam coś pod sam koniec schrzanić? Po co mam się pod sam koniec, pakować w tarapaty, i to na własne życzenie? Jeszcze mi się przypomniała jedna relacja na Wiki Travel, w której gościu opisywał, że podczas

pobyty w Zimbabwe parokrotnie ludzie go wyzywali, byli niemili, agresywni i raz został skonfrontowany z pijanym mężczyzną, który wyzywał go od białasów i kazał wypierda...ać tam skąd przyjechał. Leżałam tak w nocy, rozmyślałam i w końcu powiedziałam - „Krzychu, jeśli miałbyś wypadek i nie przeżyłbyś go tylko dlatego, że z braku paliwa karetka nie mogła po ciebie przyjechać, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła! Mieliśmy już tyle przygód, tyle jeszcze nas przygód czeka, może tą jedną, zimbabweńską możemy sobie odpuścić? Wiesz, możemy spędzić tam wspaniałe dwa tygodnie, a może to okazać się największym koszmarem w naszym życiu. Po co? Wiesz, jak jest na rowerach. Jeśli dwa razy w ciągu dnia ktoś mnie zbluzga, to nawet jeśli potem 50 osób pomacha i powita uśmiechem, to już ten dzień jest i tak spalony. Nie chce mi się jechać tam, żeby ludzie mnie wyzywali. Myślę też o tych blokadach, o agresywnych policjantach i ogólnie o dyktatorskiej atmosferze...” Krzycho tylko odparł - „No to nie jedziemy!”

Jako, że decyzja o tym, że rezygnujemy z Zimbabwe zapadła, rano poszliśmy do urzędu imigracyjnego w Chimoio przedłużyć nasze mozambickie wize o kolejny miesiąc. Pan w okienku powiedział, że jeśli przyjdziemy jutro, to przedłuży nam wize od ręki, a teraz musielibyśmy czekać. Odeszliśmy zadowoleni. Właściwie to ucieszyliśmy się, że jeszcze możemy odwlec decyzję, którą niby już podjęliśmy, a jednak okazało się, że nie. W naszych głowach wciąż bowiem kotłowało się „jechać, nie jechać, jechać, nie jechać, jechać, nie jechać, jechać, nie jechać..” To był punkt zwrotny w całej tej historii. Został nam dany jeszcze jeden dzień do namysłu i traf chciał, że akurat tego dnia, po raz pierwszy spotkaliśmy ludzi, którzy byli w Zimbabwe niedawno a nie jak pozostali 3 - 4 lata temu i wszyscy mówili, że nie jest tak źle, jak to się ogólnie uważa. Niektórzy mówili nawet, że drogi są bardzo dobre a półki w sklepach pełne. I komu tu wierzyć??? Ostatecznie stwierdziliśmy jednogłośnie - TYLKO SOBIE SAMEMU I SWOIM WŁASNYM DOŚWIADCZENIOM. JEDZIEMY!

Skoro decyzja zapadła, nakreśliliśmy wstępnie trasę, która miała omijać wszystkie duże miasta (w tym w szczególności stolicę Harare), oraz która miała nas w dwa tygodnie wyprowadzić z Zimbabwe do Południowej Afryki. Zrobiliśmy olbrzymie zakupy - zapasy fasolek w puszcze, zupkę w proszku, makaronu, ryżu a nawet chleba (no bo przecież prawie wszyscy mówili, że tam w sklepach nie ma jedzenia). Poinformowaliśmy też ambasadę brytyjską w Harare o naszych planach, by w razie jak by coś się stało, mieć jakąś opiekę konsularną, no i żeby ktoś w ogóle wiedział, że tam jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Ponieważ tego dnia jeszcze wiele osób wyrażało swoje opinie na temat Zimbabwe, mieliśmy już całkowity mętlik w głowach. Postanowiliśmy więc, że pojedziemy w pierw do Mutare, pierwszego miasta po stronie Zimbabweńskiej, oddalonego jedynie 10 km od granicy i tam spytamy księży o stan dróg i ogólną sytuację polityczną. Uznaliśmy, że powinni być zorientowani, jako osoby, które przeważnie dość dużo podróżują od parafii do parafii oraz jako osoby, które często „na swoim podwórku” nie boją się wyrażać opinii politycznych. Stwierdziliśmy, że wobec tylu niewiadomych, najlepiej spróbować zdobyć informacje na miejscu oraz też na własnej skórze poczuć jaka atmosfera panuje w mieście. Postanowiliśmy, że jeśli coś nam nie będzie odpowiadać albo wieści na miejscu będą zastraszające, wrócimy do Mozambiku. Mutare jest położone tak blisko granicy, że zawsze można zawrócić.

I tak obładowani toną wody i dwiema tonami jedzenia, ruszyliśmy wczoraj z Chimoio w stronę granicy. Ostatnią noc w Mozambiku spędziliśmy w Manice, 20 km przed granicą, gdzie byliśmy goszczeni przez Martina, Austriaka, którego poznaliśmy parę dni wcześniej. Jego znajomi, Niemcy, byli bardzo zdumieni, kiedy powiedzieliśmy im o informacjach, które przeczytaliśmy na stronach ambasad. My byliśmy natomiast zdumieni, kiedy oni powiedzieli nam, że Zimbabwe w porównaniu z Mozambikiem to kraina miodem i mlekiem płynąca, że tam robią wszystkie zakupy, bo mogą dostać rzeczy, których w Mozambiku nie ma, oraz, że (uwaga!) jeżdżą ze swoim noworodkiem raz w miesiącu do lekarza, do Harare, bo tam są specjaliści i kliniki o jakich się Mozambijczykom jeszcze nie śni! No to już zupełne pomieszanie z poplątaniem! Jedne informacje kompletnie nie przystają do innych. Komu tu wierzyć? Wygląda na to, że jedynie WŁASNYM OCZOM! Ucieszyłam się szczerze, że jednak jedziemy i sami się o tym wszystkim przekonamy!

Dziś, z samego rana, pożegnawszy się z naszymi gospodarzami, ruszyliśmy w stronę granicy. Już sam budynek zrobił na nas spore wrażenie. Pierwsze przejście od niepamiętnych czasów, czyste, wyłożone pseudo marmurami i ukwiecone. Wszystko poszło sprawnie - formularze, wize, pieczątki i już byliśmy po drugiej stronie. Ponieważ w międzyczasie zrobiła się pora obiadowa oraz słońce mocno już przygrzewało, podtoczyliśmy się kawałeczek od granicy i zatrzymaliśmy na stacji benzynowej. Usiedliśmy na schodkach i zaczęliśmy rozkładać się z jedzeniem. Pierwsze co zwróciło naszą uwagę były cisza i spokój! Nikt nie podszedł się gapić, żebrać ani nie próbował się przysiąść! Ludzie podjeżdżali, tankowali, pozdrawiali nas z uśmiechem i jechali dalej. A na słowo Polska, nie wybałuszali oczu i nie robili zdziwionej miny, tylko (nie do wiary!) WIEDZIELI GDZIE TO JEST! Jeden

pan nawet, usłyszawszy nazwę naszego kraju błyskawicznie wyrzucił z siebie - „Warszawa, Jaruzelski, Wałęsa, Jan Paweł II, rozbiory!” Tym razem nam oczy wyszły na wierzch ze zdumienia. Szacun! Naprawdę nam facet zaimponował. Gdy z niedowierzaniem spytaliśmy skąd to wszystko wie, gościu prawie był urażony, że robi to na nas aż takie wrażenie i z nutą niemalże wyższości nad nami powiedział - „Ze szkoły, a skąd!? Poza tym interesuję się historią to wiem!” Odjechał a my z Krzychem jeszcze długo nie mogliśmy ochłonąć z szoku! PIERWSZA osoba w Afryce wiedziała AŻ tyle o naszym kraju! Normalnie, na co dzień, w każdym kraju na Czarnym Lądzie, przebieg konwersacji wyglądał tak:

- Where are you from?

- From Poland.

- Oh, from Holand! I tu padał ciąg holenderskich nazw klubów oraz piłkarzy a potem stwierdzenie „Holland, great, I love your country!”

Z czasem nauczyliśmy się, że trzeba od razu zaznaczać różnicę pomiędzy Poland a Holland więc zmieniliśmy taktykę:

- Where are you from?

- From Poland, i tu od razu na jednym tchu dodawaliśmy „No football! Poland no football!”

To pomagało, ale często w odpowiedzi słyszeliśmy współczujące „sorry”. No bo jak może być kraj bez footballu? Rzecz w Afryce nie do pomyślenia!

Kolejny typowy schemat rozmowy wyglądał tak:

- Where are you from?

- From Poland.

- Yes! I love your country! I would love to visit your country! What can I do to go to your country?

May be you can take me to your country? I think your country is very nice! Yes, I love your country, what was it name?

- Poland.

Oh, yes! Take me there, I love your country, Poland!

O tyle, o ile rozmowy z entuzjastami wypadów do Europy oraz fanami footballu nie zawsze były łatwe (szczególnie jeśli taką samą konwersację toczyliśmy czasem kilkanaście do kilkudziesięciu razy dziennie), to najkrótsze i najprostsze rozmowy były z tymi, którzy na hasło Poland pytali - „Poland, how far?” - czyli jak to daleko. Wtedy wystarczy rzucić afrykańską odpowiedź - „Too far!” - czyli za daleko! I to zdumiewająco, za każdym razem wystarcza! Nie ma więcej pytań! Przecież w Afryce daleko, to daleko.

No ale wracając do wyedukowanego Zimbabweńczyka, nie trudno zrozumieć, że zrobił na nas wrażenie! Podekscytowani zaczęliśmy się cieszyć, że może więcej takich osób z Zimbabwe spotkamy.

Gdy trochę się posililiśmy, powoli zebraliśmy rzeczy i ruszyliśmy dalej. Okazało się, że cała droga z granicy do Mutare to całkiem stromy podjazd. Pięliśmy się więc powoli na naszych niemalże do granic możliwości objuconych rowerach. Już w trakcie tej wspinaczki cały czas nam coś nie pasowało, ale gdy po godzinie pojawiły się pierwsze zabudowania, wyraźnie oboje czuliśmy, że coś jest nie tak! Miały być rozwalone drogi, brud i bieda a tu KOLOROWO, wszystko ukwiecone, zielone trawniki, elegancki asfalt i strzeżone osiedle???

Zanim dotarliśmy do samego centrum, zobaczyliśmy po naszej prawej stronie wielki kościół.

Zajechaliśmy tam, aby spytać czy możemy rozbić się na jedną noc, no i wypytać o sytuację w kraju.

Przywitał nas stary, czarny ksiądz, który od razu zgodził się ugościć nas w ogrodzie. Zostawiliśmy rowery na werandzie i korzystając jeszcze ze światła dziennego, ruszyliśmy do miasta. Dodam, że

jeszcze dziś rano znaleźliśmy jeden wpis na blogu sprzed 2 lat, w którym było napisane, że w Zimbabwe infrastruktura jest zniszczona, tynki odpadają ze ścian, większość sklepów jest

pozamykana a po ulicach smętnie snują się nieliczni ludzie. Szaro i smutno. JAKIEŻ ZDUMIENIE nas ogarnęło gdy dotarliśmy do centrum! Nawet nie da się tego opisać. Po pierwsze PIĘKNIE, CZYSTO I

KOLOROWO! Powitała nas długa ulica wysadzana palmami z piękną staroangielską kolonialną

zabudową oraz z bardziej współczesnym brytyjskim budownictwem z czerwonej cegły, którego

bardzo dużo w całej Brytanii. Stanęliśmy jak w murowani! Po chodnikach (chodnikach! Ostatni raz chodniki widzieliśmy w Nairobi, w Kenii!) przechadzały się spokojnym krokiem tłumy ludzi. Każdy

uśmiechnięty od ucha do ucha, do tego połowa z lodami w rózku w ręku. Ruszyliśmy w dół ulicy wraz z tłumem. Szliśmy z ludzką falą, zupełnie zahipnotyzowani, co chwilę przecierając ze zdumienia oczy,

przed którymi mieniły się liczne banki, zagraniczne supermarkety, drogie samochody, otwarte na ulicę pizzerie i lodziarnie. Co chwila tylko mi migają - Spar, Barclays, Lloyds, Nokia, Siemens, BMW, Shoppies, Pizza Inn, Creamy Inn. Co się dzieje? Przecież miało być tak biednie, tak szaro, tak

beznadziejnie! A to nie koniec, to dopiero początek! Weszliśmy do pierwszego supermarketu

i stanęliśmy zupełnie jak wryci! Takiego wyboru produktów, takiej obfitości marek i zapełnionych półek nie widzieliśmy nigdzie, ani w Afryce, ani na Bliskim Wschodzie. Chodziliśmy jak dzieci we mgle, OGLĄDAJĄC sklep i pokazując sobie produkty palcami - „Krzychu zobacz, żółty ser! Krzychu zobacz, jogurt smakowy! Krzychu zobacz, masło orzechowe! Dżem! Nutella! Czekolada! Snickersy! Mleko sojowe! Masło! Musli! Chleb pełnoziarnisty!” Produkty, o których mogliśmy jedynie pomarzyć przez całą drogę i czasem niektóre dostać w stolicach afrykańskich miast, tu wszystkie naraz były na półkach i mieniły się kolorami! Nigdy się nie spodziewałam, że mogę wpaść w taki entuzjazm z powodu wizyty w supermarkecie! A jednak! Szczególnie, że w Mozambiku przez miesiąc jadłam niemal wyłącznie kassawę (maniok) z pomidorami. To wszystko! Żadnej fasoli, żadnych nabiałów, żadnych innych warzyw. Oboje byliśmy po Mozambiku wycieńczeni i wygłodniali więc nagłe zobaczenie tej całej obfitości wprawiło nas naprawdę w euforię. Przede wszystkim docierała do mnie świadomość, że wreszcie będę mogła się NAJEŚĆ!:-)

Wyszliśmy ze sklepu, niewiele dzierżąc w dłoni. Byliśmy tak oszołomieni, że trudno nam było się na coś konkretnego zdecydować. Ruszyliśmy dalej w celu kupienia karty SIM do telefonu. Gdy dotarliśmy na miejsce, kolejny szok! Wielki, klimatyzowany salon z wyeksponowanymi komórkami na przezroczystych bryłach z plexi, podświetlanymi na niebiesko od spodu, a wokół kilkanaście stanowisk z nowoczesnym komputerami do korzystania z internetu. Karty kupiliśmy bezproblemowo, za 2\$ każda, a nie za 200\$ jak wcześniej czytaliśmy. Pokręciliśmy się jeszcze po mieście z niedowierzaniem patrząc na wszystko wkoło. Ludzie ubrani po europejsku - dżinsy, t-shirt, trampki. Jak za dotknięciem magicznej różdżki znikły też kobiety opasane kolorową chustą, niosące zakupy na głowie. Właściwie to dziwnie jakoś...Cały Bliski Wschód (poza Libanem), cała Afryka, wszędzie to samo - kobiety, jeśli muzułmanki to całkiem zakryte, jeśli nie, to przepasane chustą, z zakupami, ciężarami ZAWSZE na głowie! Nagle, cofnęłam się o rok i parę miesięcy i poczułam jak na Cyprze! Tam ostatni raz widziałam masowo kobiety w dżinsach, z zakupami w ręku a nie na głowie, i tam też ostatnio widziałam ludzi przechadzających się z lodami. Tam ostatni raz widziałam tyle produktów na sklepowych półkach. Coś niesamowitego! I pomyśleć, że my, jak idioci, zrobiliśmy zapasy na Zimbabwe w Mozambiku, jednym z najbiedniejszych krajów świata!!!

Do tego dodam jeszcze, że każdy zapytany o drogę murzyn, uśmiechał się do nas szeroko, pytał jak się mamy i ochoczo prowadził do celu.

Wróciliśmy do kościoła, rozbiliśmy namiot a z naszych ust jeszcze do późnego wieczora nie zniknęła stała mantra - „Ale zaskoczenie, ale zaskoczenie, ale zaskoczenie!”

ZIMBABWE

21.09.2011 Mutare

Dziś dotarliśmy do Zimbabwe! Ależ mi się tu podoba! Aż trudno uwierzyć, że jeszcze wczoraj wahaliśmy się i zastanawialiśmy, czy warto wjeżdżać do tego kraju...

Już w kwietniu, słyszeliśmy od konsula RP w Nairobi, że do Zimbabwe pod żadnym pozorem mamy nie jechać, ponieważ kraj ten się rozpadł, nie istnieje tam żadna państwowość, szaleje inflacja i panuje anarchia. Właściwie to te właśnie słowa spowodowały, że zainteresowaliśmy się wyprawą do Zimbabwe. Jak już pisałam, za każdym razem bowiem, im kraje gorszymi opiniami się cieszyły, tym przyjaźniejszych ludzi w nich spotykaliśmy. Najlepszym przykładem jest tu Sudan, w którym spotkaliśmy najbardziej pokojowych, przesympatycznych i spokojnych ludzi. Czuliśmy się bezpiecznie zarówno w miastach, wioskach jak i na pustyni. Nie mieliśmy żadnych nieprzyjemności, ani choćby cienia poczucia zagrożenia. Gdy jednak pośród krajów przejechanych wymieniany Sudan, ludzie robią wielkie oczy ze zdumienia i pytają, czy nie baliśmy się jechać przez ten bandycki kraj ogarnięty wojną! Tak więc, gdy tylko usłyszeliśmy te niepoehlebne opinie o Zimbabwe, stwierdziliśmy, że warto tam zajrzeć i sprawdzić czy rzeczywiście jest tam tak strasznie. Od momentu, gdy podjęliśmy tę decyzję, nie zastanawialiśmy się nad tym już więcej. Po prostu jechaliśmy przed siebie, przez Kenię, Tanzanię i Mozambik, zmierzając powoli do Zimbabwe. Gdy jednak dotarliśmy do Chimoio, przedostatniego miasta przed granicą pomiędzy Mozambikiem a Zimbabwe, dopadły nas poważne wątpliwości. Wszyscy bowiem napotkani Mozambijczycy robili wielkie oczy na wiadomość, dokąd jedziemy. Reakcja była prawie zawsze taka sama - „Dokąd?! Do Zimbabwe?? Przecież tam nie ma czego szukać. Chyba, że guza. Tam nie ma nic! Nie ma dróg, szpitale nie funkcjonują, szaleje inflacja, panuje cholera, no a sami Zimbabweńscy są bardzo wrogo nastawieni do białych. Poza tym, tam nawet półki w sklepach są puste, więc Zimbabweńscy, do nas przyjeżdżają na zakupy. Zastanówcie się czy na pewno chcecie tam jechać, szukać kłopotów.” Początkowo niezrażeni drążyliśmy temat dalej, ale docierały do nas za każdym razem podobne informacje. W akcie desperacji, postanowiliśmy zasięgnąć porady z internetu. Zaczęliśmy przeszukiwać blogi podróżnicze ale ku naszemu zdumieniu, nie mogliśmy znaleźć żadnych wpisów z tego roku, poza paroma wpisami z turystycznych miejsc jak wodospady Wiktorii. Żadnych blogów włóczykijów, niezależnych

podróżników. Żadnych też doniesień w prasie o obecnych nastrojach politycznych. W takiej sytuacji, trafiliśmy na strony rządowe – poradniki dla podróżnych na stronach ambasad Polski, Wielkiej Brytanii, USA i Australii. BŁĄD, SKUCHA, WIELKI BŁĄD!!! Wróciliśmy do kościoła, w którego garażu mieliśmy rozbity namiot i zaczęliśmy czytać te ambasadorskie mądrości.

Na wszystkich trzech stronach, wszystkich uaktualnionych rzekomo w czerwcu, lipcu oraz sierpniu tego roku, widniały te same informacje o Zimbabwe - totalny rozpad, bandytyzm, bieda, rasizm, napady z bronią, aresztowania, pobicia i morderstwa białych, pustki w sklepach, brak paliwa, prądu, rozwalone drogi, szalejąca cholera i malaria w całym kraju, a do tego we wrześniu ma odbyć się referendum które może doprowadzić do strzelanin i zamieszek zarówno w miastach jak i wioskach. Aby pełniej przedstawić obraz Zimbabwe, jaki się przed nami rysował oraz lepiej móc wytłumaczyć dlaczego obawialiśmy się wjazdu do tego kraju, poniżej przytoczę niektóre informacje, które widnieją na rządowych stronach.

Informator dla podróżnych Polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych:

W Zimbabwe nie ma agenta polskich towarzystw ubezpieczeniowych. Zaleca się więc ubezpieczenia osobowe w renomowanych firmach międzynarodowych. Praktycznie w całym kraju występują ogniska cholery. Miejskowe służby sanitarne i medyczne są niewydolne, infrastruktura wodociągowa i kanalizacyjna funkcjonuje jedynie w dużych miastach (Harare, Bulawayo). Bardzo duża jest zachorowalność na AIDS. Brak opieki medycznej o standardzie europejskim. W nielicznych szpitalach w Harare możliwa jest jedynie opieka o charakterze interwencyjnym. Występują okresowe braki paliwa – zarówno benzyny, jak i oleju napędowego. Bardzo zły stan dróg publicznych.

Częste blokady dróg. Nie zaleca się korzystania ze środków komunikacji publicznej ani podróżowania po zapadnięciu zmroku. W czasie podróży należy zamykać okna i drzwi samochodów. Należy nosić przy sobie poświadczony notarialnie bądź w ambasadzie kopie dokumentów tożsamości.

Istnieje poważne zagrożenie przestępczością zarówno w miastach Harare i Bulawayo, jak i na terenach wiejskich. Nierzadkie są przypadki kradzieży pieniędzy i paszportów z pokoiw hotelowych. W związku z kryzysem polityczno-społecznym wzrosła liczba napadów z bronią w rękę, których ofiarami są często właściciele luksusowych samochodów.

Nie ma polskiej placówki dyplomatycznej. Najbliższe polskie przedstawicielstwo dyplomatyczne to Ambasada RP w Pretorii (RPA).

Do tego na stronach ambasad Wielkiej Brytanii, USA i Australii przeczytaliśmy co następuje:

Od początku 2011 roku zanotowano wzrost zastraszania oraz przemocy na tle politycznym zarówno na obszarach wiejskich jak i miejskich (także na przedmieściach Harare). W lutym 2011 uzbrojony gang Weteranów najechał i spustoszył centrum biznesowe Harare.

Podczas kampanii wyborczej w 2008 roku odnotowano liczne zatrzymania, pobicia, tortury i morderstwa przeciwników prezydenta Mugabego oraz jego partii rządzącej ZANU (PF) – członków opozycji, pracowników organizacji pozarządowych, prawników i innych postrzeganych jako przeciwników rządów Mugabego. Policja nie reaguje i nie interweniuje w przypadkach przestępstw na tle politycznym.

Od 2000 roku większość farm przemysłowych należących do białych jest okupowana lub została przejęta przemocą przez tzw. Weteranów Wojennych.

Należy być niezmiernie uważnym odwiedzając nieznaną sobie obszary rolnicze ze względu na szalejących tam i szerzących bezprawie Weteranów Wojennych.

Na skutek kiepskiej sytuacji politycznej, przestępczość jest dużym problemem w Zimbabwe. Większość napadów odbywa się bronią palną. Wielu turystów (amerykańskich) zostało obrabowanych i pobitych w centrum Harare.

Drogi są w fatalnym stanie a wypadki drogowe są częstą przyczyną zgonów. Pomoc medyczna jest ograniczona jedynie do podstawowych zabiegów a ambulans może nie dotrzeć na miejsce wypadku z powodu braku paliwa.

Policja bardzo często stosuje oznaczone, bądź nie (ad hoc) blokady drogowe. Należy zachować niezmierną ostrożność zbliżając się do nich, szczególnie nocą. Jeśli zostaniesz zatrzymany, staraj się współpracować z oficerami i stosuj się do ich poleceń. Jeśli to tylko możliwe miej ze sobą telefon komórkowy bądź jakiś inny, alternatywny środek komunikacji.

W miastach częste są rabunki aut z bronią. Należy mieć zawsze zablokowane wszystkie drzwi. Nie poleca się zatrzymywania na światłach. Zbliżając się do skrzyżowania należy zwolnić odpowiednio, tak aby w międzyczasie światło zmieniło się na zielone. Nie zaleca się też zatrzymywania na poboczach, szczególnie w okolicach Beitbridge.

Przestępstwem jest niezatrzymanie się gdy zbliża się prezydencka kolumna samochodowa. Gdy nadjeżdża prezydent, należy zjechać na pobocze i niezwłocznie się zatrzymać, niezależnie po której stronie drogi się znajduje. Znane są liczne przypadki przemocy wobec kierowców za to, że zatrzymali się w niewłaściwym miejscu lub nie zatrzymali się odpowiednio szybko na widok nadjeżdżającego prezydenta.

Krytykowanie prezydenta Mugabego oraz jego rządu jest niezgodne z prawem. Należy unikać jakichkolwiek dyskusji politycznych. Nie wolno mieć żadnych materiałów uważanych przez rząd za obraźliwe.

Otwarta dłoń jest symbolem opozycji. Nie należy więc machać do nikogo, ponieważ ten przyjazny gest może to być odebrany jako wyrażanie swoich poglądów politycznych.

Nie wolno fotografować siedziby prezydenta, centr przesyłowych energii elektrycznej, poczty, ani skupisk ludzi. Zdarzało się, że turyści byli przetrzymywani przez policję godzinami za zrobienie zdjęcia kościoła, meczetu czy synagogi.

Obcokrajowcy podejrzani o działania przeciw rządowe, są wtrącani do aresztu i przetrzymywani tam od 48 godz do 14 dni. Nierzadko konsul nie dostaje prawa na odwiedzinę zatrzymanego. Często też ambasada w ogóle nie jest informowana o zatrzymaniu obywatela jej kraju.

Z powodu zapaści służby zdrowia, większość poważnych chorób lub wypadków wymaga ewakuacji medycznej do Republiki Południowej Afryki przy czym zarówno szpitale w Zimbabwe jak i firmy zajmujące się organizacją ewakuacji medycznej, oczekują natychmiastowej zapłaty w gotówce. Nawet w poważnych wypadkach drogowych, nie zostanie udzielona pomoc, jeśli nie zapłaci się 2 tys. dolarów amerykańskich na pokrycie podstawowych kosztów leczenia.

Z powodu braków paliwa, ofiary wypadków muszą same zorganizować sobie transport do szpitala. Należy zabrać ze sobą wszystkie niezbędne leki, ponieważ w Zimbabwe brakuje nawet podstawowych medykamentów.

Z powodu szalejącej cholery powinno się pić wyłącznie butelkowaną lub przegotowaną wodę raz jeść potrawy wyłącznie przygotowane na butelkowanej lub przegotowanej wodzie,

Na koniec znaleźliśmy pobudzające wyobraźnię statystyki konsulatu brytyjskiego w Harare:

W okresie od 1.04.2010 - 31.03.2011, 28 obywateli Wielkiej Brytanii wymagało opieki konsularnej, z następujących powodów: 17 zgonów, 2 hospitalizacje i jedno aresztowanie.

Po przeczytaniu tego wszystkiego oraz z powodu nieustannych komentarzy ze strony Mozambijczyków, jedynie potwierdzających te informacje, wszystko nam w głowach wirowało. Nasze nastroje dotyczące wjazdu do Zimbabwe zmieniały się parę razy w ciągu godziny. Jedziemy, nie jedziemy, jedziemy, nie jedziemy, jedziemy, nie jedziemy...

Pod koniec dnia, ruszyła maszyna wyobraźni i zaczęliśmy snuć najgorsze scenariusze:

Po pierwsze skojarzyło nam się to wszystko z atmosferą z filmu o Ugandzie - „Ostatni król Szkocji”, w którym to właśnie, prezydent mający się za króla stał się panem życia i śmierci swoich ludzi. Zaczęłam widzieć oczami wyobraźni panoszących się murzynów z kałasznikowami na blokadach drogowych. Groźnych i nieobliczalnych, tak bardzo nieobliczalnych jak tylko może być biedak, któremu dali do ręki władzę. Zaczęliśmy zastanawiać się nad tym, co będzie gdy nas zatrzymają na blokadzie i wymyślą jakiś powód, by wsadzić do aresztu? Przecież nasza ambasada jest dopiero w RPA, nawet nam nie będą mogli pomóc! Do tego wizja szalejących po kraju, uzbrojonych Weteranów Wojennych, prezydenckich dzikich eskort samochodowych i policjantów, którzy za zrobienie zdjęcia wózka z warzywami mogą zgarnąć cię do ciupy. Nie, nie uśmiechało nam się to wszystko!

Do tego Krzycho dopiero co przeszedł malarię i wiedzieliśmy, że w Zimbabwe będziemy musieli ponowić testy, aby upewnić się, czy choroba rzeczywiście została wyleczona. Wszyscy napotkani Mozambijczycy zgodnym chórem mówili - „Co ty, zapomnij! W Zimbabwe nikt ci nie robi takich testów! A jeśli będziesz miał nawrót choroby, nie zdobędziesz nigdzie leków!”

Po wypadku Rafała, który przeżyliśmy w Kenii, oczywiście jeszcze inne myśli zaprzętały mi głowę. Myśli, których wcześniej raczej nie miewałam, a teraz, nauczona już doświadczeniem, zaczęłam brać też i takie opcje pod uwagę - A co jeśli któreś z nas będzie miało wypadek? Jak wezwiemy pogotowie (nie mówiąc już o helikopterze, który w Kenii uratował Rafałowi życie), skoro sieć komórkowa nie łączy nigdzie poza dużymi miastami? Jeśli nawet uda się połączyć, to jak do nas dojadą, skoro



notorycznie nie mają paliwa? A jak w kraju nie ma paliwa, to nawet nie ma co liczyć na pomoc kogoś z prywatnym samochodem...A co jeśli ktoś z nas będzie miał tak poważne obrażenia jak Rafał? Przecież w szpitalach nie ma nawet podstawowych leków, nie mówiąc już o poważnej operacji!

A nawet jeśli przyjedzie pogotowie i będą mieli odpowiedni sprzęt w szpitalu, jak za to zapłacimy z góry tysiącami dolarów, jeśli nasze ubezpieczenia nie są w Zimbabwe rozpoznawane?

I tak rozmyślając długo, w końcu poczułam, że to nie ma sensu. Po co mamy ryzykować, tylko po to, żeby udowodnić, że urzędnicy siedzący za biurkiem w ambasadzie nie mieli racji? Z jednej strony z własnego doświadczenia, wiem doskonale, że nie ma co słuchać ani pesymistów, których zawsze jest pełno wkoło, ani doniesień z mediów ani ambadorskich opinii. Ale z drugiej strony, gdzieś jest ta granica, od której może powinno się jednak trochę nadstawić uszy na to co mówią inni? Tylko gdzie jest ta granica? Po co mamy ryzykować, żeby łamać kolejne stereotypy? Już prawie całą Afrykę przejechałam, jesteśmy niemal u kresu tej podróży, do tej pory cali i zdrowi. Po co mam coś pod sam koniec schrzanić? Po co mam się pod sam koniec, pakować w tarapaty, i to na własne życzenie? Jeszcze mi się przypomniała jedna relacja na Wiki Travel, w której gościu opisywał, że podczas pobytu w Zimbabwe parokrotnie ludzie go wyzywali, byli niemili, agresywni i raz został skonfrontowany z pijanym mężczyzną, który wyzywał go od biaśasów i kazał wypierda...ać tam skąd przyjechał. Leżałam tak w nocy, rozmyślałam i w końcu powiedziałam - „Krzychu, jeśli miałbyś wypadek i nie przeżyłbyś go tylko dlatego, że z braku paliwa karetka nie mogła po ciebie przyjechać, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła! Mieliśmy już tyle przygód, tyle jeszcze nas przygód czeka, może tą jedną, zimbabweńską możemy sobie odpuścić? Wiesz, możemy spędzić tam wspaniałe dwa tygodnie, a może to okazać się największym koszmarem w naszym życiu. Po co? Wiesz, jak jest na rowerach. Jeśli dwa razy w ciągu dnia ktoś mnie zbluzga, to nawet jeśli potem 50 osób pomacha i powita uśmiechem, to już ten dzień jest i tak spalony. Nie chce mi się jechać tam, żeby ludzie mnie wyzywali. Myślę też o tych blokadach, o agresywnych policjantach i ogólnie o dyktatorskiej atmosferze...” Krzycho tylko odparł - „No to nie jedziemy!”

Jako, że decyzja o tym, że rezygnujemy z Zimbabwe zapadła, rano poszliśmy do urzędu imigracyjnego w Chimoio przedłużyć nasze mozambickie wize o kolejny miesiąc. Pan w okienku powiedział, że jeśli przyjdziemy jutro, to przedłuży nam wize od ręki, a teraz musielibyśmy czekać. Odeszliśmy zadowoleni. Właściwie to ucieszyliśmy się, że jeszcze możemy odwlec decyzję, którą niby już podjęliśmy, a jednak okazało się, że nie. W naszych głowach wciąż bowiem kotłowało się „jechać, nie jechać, jechać, nie jechać, jechać, nie jechać..” To był punkt zwrotny w całej tej historii. Został nam dany jeszcze jeden dzień do namysłu i trafił chciał, że akurat tego dnia, po raz pierwszy spotkaliśmy ludzi, którzy byli w Zimbabwe niedawno a nie jak pozostali 3 - 4 lata temu i wszyscy mówili, że nie jest tak źle, jak to się ogólnie uważa. Niektórzy mówili nawet, że drogi są bardzo dobre a półki w sklepach pełne. I komu tu wierzyć??? Ostatecznie stwierdziliśmy jednogłośnie - TYLKO SOBIE SAMEMU I SWOIM WŁASNYM DOŚWIADCZENIOM. JEDZIEMY!

Skoro decyzja zapadła, nakreśliliśmy wstępnie trasę, która miała omijać wszystkie duże miasta (w tym w szczególności stolicę Harare), oraz która miała nas w dwa tygodnie wyprowadzić z Zimbabwe do Południowej Afryki. Zrobiliśmy olbrzymie zakupy - zapasy fasolek w puszcze, zupek w proszku, makaronu, ryżu a nawet chleba (no bo przecież prawie wszyscy mówili, że tam w sklepach nie ma jedzenia). Poinformowaliśmy też ambasadę brytyjską w Harare o naszych planach, by w razie jak by coś się stało, mieć jakąś opiekę konsularną, no i żeby ktoś w ogóle wiedział, że tam jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Ponieważ tego dnia jeszcze wiele osób wyrażało swoje opinie na temat Zimbabwe, mieliśmy już całkowity mętlik w głowach. Postanowiliśmy więc, że pojedziemy wpierw do Mutare, pierwszego miasta po stronie zimbabweńskiej, oddalonego jedynie 10 km od granicy i tam spytamy księży o stan dróg i ogólną sytuację polityczną. Uznaliśmy, że powinni być zorientowani, jako osoby, które przeważnie dość dużo podróżują od parafii do parafii oraz jako osoby, które często „na swoim podwórku” nie boją się wyrażać opinii politycznych. Stwierdziliśmy, że wobec tylu niewiadomych, najlepiej spróbować zdobyć informacje na miejscu oraz też na własnej skórze poczuć jaka atmosfera panuje w mieście. Postanowiliśmy, że jeśli coś nam nie będzie odpowiadać albo wieści na miejscu będą zastraszające, wrócimy do Mozambiku. Mutare jest położone tak blisko granicy, że zawsze można zawrócić.

I tak obładowani toną wody i dwiema tonami jedzenia, ruszyliśmy wczoraj z Chimoio w stronę granicy. Ostatnią noc w Mozambiku spędziliśmy w Manice, 20 km przed granicą, gdzie byliśmy goszczeni przez Martina, Austriaka, którego poznaliśmy parę dni wcześniej. Jego znajomi, Niemcy, byli bardzo zdumieni, kiedy powiedzieliśmy im o informacjach, które przeczytaliśmy na stronach ambasad. My byliśmy natomiast zdumieni, kiedy oni powiedzieli nam, że Zimbabwe w porównaniu z Mozambikiem to kraina miodem i mlekiem płynąca, że tam robią wszystkie zakupy, bo mogą

dostać rzeczy, których w Mozambiku nie ma, oraz, że (uwaga!) jeżdżą ze swoim noworodkiem raz w miesiącu do lekarza, do Harare, bo tam są specjaliści i kliniki o jakich się Mozambijczykom jeszcze nie śni! No to już zupełne pomieszanie z poplątaniem! Jedne informacje kompletnie nie przystają do innych. Komu tu wierzyć? Wygląda na to, że jedynie WŁASNYM OCZOM! Ucieszyłam się szczerze, że jednak jedziemy i sami się o tym wszystkim przekonamy!

Dziś, z samego rana, pożegnawszy się z naszymi gospodarzami, ruszyliśmy w stronę granicy. Już sam budynek zrobił na nas spore wrażenie. Pierwsze przejście od niepamiętnych czasów, czyste, wyłożone pseudo marmurami i ukwiecone. Wszystko poszło sprawnie - formularze, wize, pieczętki i już byliśmy po drugiej stronie. Ponieważ w międzyczasie zrobiła się pora obiadowa oraz słońce mocno już przygrzewało, podtoczyliśmy się kawałeczek od granicy i zatrzymaliśmy na stacji benzynowej. Usiedliśmy na schodkach i zaczęliśmy rozkładać się z jedzeniem. Pierwsze co zwróciło naszą uwagę były cisza i spokój! Nikt nie podszedł się gapić, żebrać ani nie próbował się przysiąść! Ludzie podjeżdżali, tankowali, pozdrawiali nas z uśmiechem i jechali dalej. A na słowo Polska, nie wybałuszali oczu i nie robili zdziwionej miny, tylko (nie do wiary!) WIEDZIELI GDZIE TO JEST! Jeden pan nawet, usłyszawszy nazwę naszego kraju błyskawicznie wyrzucił z siebie - „Warszawa, Jaruzelski, Wałęsa, Jan Paweł II, rozbiory!” Tym razem nam oczy wyszły na wierzch ze zdumienia. Szacun! Naprawdę nam facet zaimponował. Gdy z niedowierzaniem spytaliśmy skąd to wszystko wie, gościu prawie był urażony, że robi to na nas aż takie wrażenie i z nutą niemalże wyższości nad nami powiedział - „Ze szkoly, a skąd!? Poza tym interesuję się historią to wiem!” Odjechał a my z Krzychem jeszcze długo nie mogliśmy ochłonąć z szoku! PIERWSZA osoba w Afryce wiedziała AŻ tyle o naszym kraju! Normalnie, na co dzień, w każdym kraju na Czarnym Lądzie, przebieg konwersacji wyglądał tak:

- Where are you from?

- From Poland.

- Oh, from Holand! I tu padał ciąg holenderskich nazw klubów oraz piłkarzy a potem stwierdzenie „Holland, great, I love your country!”

Z czasem nauczyliśmy się, że trzeba od razu zaznaczać różnicę pomiędzy Poland a Holland więc zmieniliśmy taktykę:

- Where are you from?

- From Poland, i tu od razu na jednym tchu dodawaliśmy „No football! Poland no football!”

To pomagało, ale często w odpowiedzi słyszeliśmy współczujące „sorry”. No bo jak może być kraj bez footballu? Rzecz w Afryce nie do pomyślenia!

Kolejny typowy schemat rozmowy wyglądał tak:

- Where are you from?

- From Poland.

- Yes! I love your country! I would love to visit your country! What can I do to go to your country? May be you can take me to your country? I think your country is very nice! Yes, I love your country, what was it name?

- Poland.

Oh, yes! Take me there, I love your country, Poland!

O tyle, o ile rozmowy z entuzjastami wypadów do Europy oraz fanami footballu nie zawsze były łatwe (szczególnie jeśli taką samą konwersację toczyliśmy czesem kilkanaście do kilkudziesięciu razy dziennie), to najkrótsze i najprostsze rozmowy były z tymi, którzy na hasło Poland pytali - „Poland, how far?” - czyli jak to daleko. Wtedy wystarczy rzucić afrykańską odpowiedź - „Too far!” - czyli za daleko! I to zdumiewająco, za każdym razem wystarcza! Nie ma więcej pytań! Przecież w Afryce daleko, to daleko.

No ale wracając do wyedukowanego Zimbabweńczyka, nie trudno zrozumieć, że zrobił na nas wrażenie! Podekscytowani zaczęliśmy się cieszyć, że może więcej takich osób z Zimbabwe spotkamy.

Gdy trochę się posililiśmy, powoli zebraliśmy rzeczy i ruszyliśmy dalej. Okazało się, że cała droga z granicy do Mutare to całkiem stromy podjazd. Pięliśmy się więc powoli na naszych niemalże do granic możliwości objuczonych rowerach. Już w trakcie tej wspinaczki cały czas nam coś nie pasowało, ale gdy po godzinie pojawiły się pierwsze zabudowania, wyraźnie oboje czuliśmy, że coś jest nie tak! Miały być rozwalone drogi, brud i bieda a tu KOLOROWO, wszystko ukwiecone, zielone trawniki, elegancki asfalt i strzeżone osiedle???

Zanim dotarliśmy do samego centrum, zobaczyliśmy po naszej prawej stronie wielki kościół. Zajechaliśmy tam, aby spytać czy możemy rozbić się na jedną noc, no i wypytać o sytuację w kraju. Przywitał nas stary, czarny ksiądz, który od razu zgodził się ugościć nas w ogrodzie. Zostawiliśmy rowery na werandzie i korzystając jeszcze ze światła dziennego, ruszyliśmy do miasta. Dodam, że

Jeszcze dziś rano znaleźliśmy jeden wpis na blogu sprzed 2 lat, w którym było napisane, że w Zimbabwe infrastruktura jest zniszczona, tynki odpadają ze ścian, większość sklepów jest pozamykana a po ulicach smętnie snują się nieliczni ludzie. Szaro i smutno. JAKIEŻ ZDUMIENIE nas ogarnęło gdy dotarliśmy do centrum! Nawet nie da się tego opisać. Po pierwsze PIĘKNIE, CZYSTO I KOLOROWO! Powitała nas długa ulica wysadzana palmami z piękną staroangielską kolonialną zabudową oraz z bardziej współczesnym brytyjskim budownictwem z czerwonej cegły, którego bardzo dużo w całej Brytanii. Stanęliśmy jak w murowani! Po chodnikach (chodnikach! Ostatni raz chodniki widzieliśmy w Nairobi, w Kenii!) przechadzały się spokojnym krokiem tłumy ludzi. Każdy uśmiechnięty od ucha do ucha, do tego połowa z lodami w różku w ręku. Ruszyliśmy w dół ulicy wraz z tłumem. Szliśmy z ludzką falą, zupełnie zahipnotyzowani, co chwilę przecierając ze zdumienia oczy, przed którymi mieniły się liczne banki, zagraniczne supermarkety, drogie samochody, otwarte na ulicę pizzerie i lodziarnie. Co chwila tylko mi migąło – Spar, Barclays, Lloyds, Nokia, Siemens, BMW, Shoppies, Pizza Inn, Creamy Inn. Co się dzieje? Przecież miało być tak biednie, tak szaro, tak beznadziejnie! A to nie koniec, to dopiero początek! Weszliśmy do pierwszego supermarketu i stanęliśmy zupełnie jak wryci! Takiego wyboru produktów, takiej obfitości marek i zapelnionych półek nie widzieliśmy nigdzie, ani w Afryce, ani na Bliskim Wschodzie. Chodziliśmy jak dzieci we mgle, OGLĄDAJĄC sklep i pokazując sobie produkty palcami - „Krzychu zobacz, żółty ser! Krzychu zobacz, jogurt smakowy! Krzychu zobacz, masło orzechowe! Dżem! Nutella! Czekolada! Snickersy! Mleko sojowe! Masło! Musli! Chleb pełnoziarnisty!” Produkty, o których mogliśmy jedynie pomarzyć przez całą drogę i czasem niektóre dostać w stolicach afrykańskich miast, tu wszystkie naraz były na półkach i mieniły się kolorami! Nigdy się nie spodziewałam, że mogę wpaść w taki entuzjazm z powodu wizyty w supermarkecie! A jednak! Szczególnie, że w Mozambiku przez miesiąc jadłam niemal wyłącznie kassawę (maniok) z pomidorami. To wszystko! Żadnej fasoli, żadnych nabiałów, żadnych innych warzyw. Oboje byliśmy po Mozambiku wycieńczeni i wygłodniali więc nagłe zobaczenie tej całej obfitości wprawiło nas naprawdę w euforię. Przynajmniej do momentu, aż do mnie świadomość, że wreszcie będę mogła się NAJEŚĆ!:-)

Wyszliśmy ze sklepu, niewiele dzierżąc w dłoni. Byliśmy tak oszołomieni, że trudno nam było się na coś konkretnego zdecydować. Ruszyliśmy dalej w celu kupienia karty SIM do telefonu. Gdy dotarliśmy na miejsce, kolejny szok! Wielki, klimatyzowany salon z wyeksponowanymi komórkami na przezroczystych bryłach z plexi, podświetlanymi na niebiesko od spodu, a wokół kilkanaście stanowisk z nowoczesnym komputerami do korzystania z internetu. Karty kupiliśmy bezproblemowo, za 2\$ każda, a nie za 200\$ jak wcześniej czytaliśmy. Pokręciliśmy się jeszcze po mieście z niedowierzaniem patrząc na wszystko wkoło. Ludzie ubrani po europejsku – dżinsy, t-shirt, trampki. Jak za dotknięciem magicznej różdżki znikły też kobiety opasane kolorową chustą, niosące zakupy na głowie. Właściwie to dziwnie jakoś...Cały Bliski Wschód (poza Libanem), cała Afryka, wszędzie to samo – kobiety, jeśli muzułmanki to całkiem zakryte, jeśli nie, to przepasane chustą, z zakupami, ciężarami ZAWSZE na głowie! Nagle, cofnęłam się o rok i parę miesięcy i poczułam jak na Cyprze! Tam ostatni raz widziałam masowo kobiety w dżinsach, z zakupami w ręku a nie na głowie, i tam też ostatnio widziałam ludzi przechadzających się z lodami. Tam ostatni raz widziałam tyle produktów na sklepowych półkach. Coś niesamowitego! I pomyśleć, że my, jak idioci, zrobiliśmy zapasy na Zimbabwe w Mozambiku, jednym z najbiedniejszych krajów świata!!!

Do tego dodam jeszcze, że każdy zapytany o drogę murzyn, uśmiechał się do nas szeroko, pytał jak się mamy i ochoczo prowadził do celu.

Wróciliśmy do kościoła, rozbiliśmy namiot a z naszych ust jeszcze do późnego wieczora nie zniknęła stała mantra - „Ale zaskoczenie, ale zaskoczenie, ale zaskoczenie!”ZIMBABWE

21.09.2011 Mutare

Dziś dotarliśmy do Zimbabwe! Ależ mi się tu podoba! Aż trudno uwierzyć, że jeszcze wczoraj wahaliśmy się i zastanawialiśmy, czy warto wjeżdżać do tego kraju...

Już w kwietniu, słyszeliśmy od konsula RP w Nairobi, że do Zimbabwe pod żadnym pozorem mamy nie jechać, ponieważ kraj ten się rozpadł, nie istnieje tam żadna państwowość, szaleje inflacja i panuje anarchia. Właściwie to te właśnie słowa spowodowały, że zainteresowaliśmy się wyprawą do Zimbabwe. Jak już pisałam, za każdym razem bowiem, im kraje gorszymi opiniami się cieszyły, tym przyjaźniejszych ludzi w nich spotykaliśmy. Najlepszym przykładem jest tu Sudan, w którym spotkaliśmy najbardziej pokojowych, przesympatycznych i spokojnych ludzi. Czuliśmy się bezpiecznie zarówno w miastach, wioskach jak i na pustyni. Nie mieliśmy żadnych nieprzyjemności, ani choćby cienia poczucia zagrożenia. Gdy jednak pośród krajów przejechanych wymieniany Sudan, ludzie robią wielkie oczy ze zdumienia i pytają, czy nie baliśmy się jechać przez ten bandycki kraj ogarnięty wojną! Tak więc, gdy tylko usłyszeliśmy te niepoehlebne opinie o Zimbabwe, stwierdziliśmy, że warto

tam zajrzeć i sprawdzić czy rzeczywiście jest tam tak strasznie. Od momentu, gdy podjęliśmy tę decyzję, nie zastanawialiśmy się nad tym już więcej. Po prostu jechaliśmy przed siebie, przez Kenię, Tanzanię i Mozambik, zmierzając powoli do Zimbabwe. Gdy jednak dotarliśmy do Chimoio, przedostatniego miasta przed granicą pomiędzy Mozambikiem a Zimbabwe, dopadły nas poważne wątpliwości. Wszyscy bowiem napotkani Mozambijczycy robili wielkie oczy na wiadomość, dokąd jedziemy. Reakcja była prawie zawsze taka sama - „Dokąd?! Do Zimbabwe?? Przecież tam nie ma czego szukać. Chyba, że guza. Tam nie ma nic! Nie ma dróg, szpitale nie funkcjonują, szaleje inflacja, panuje cholera, no a sami Zimbabweńcy są bardzo wrogo nastawieni do białych. Poza tym, tam nawet półki w sklepach są puste, więc Zimbabweńcy, do nas przyjeżdżają na zakupy. Zastanówcie się czy na pewno chcecie tam jechać, szukać kłopotów.” Początkowo niezrażeni drażyliśmy temat dalej, ale docierały do nas za każdym razem podobne informacje. W akcie desperacji, postanowiliśmy zasięgnąć porady z internetu. Zaczęliśmy przeszukiwać blogi podróżnicze ale ku naszemu zdumieniu, nie mogliśmy znaleźć żadnych wpisów z tego roku, poza paroma wpisami z turystycznych miejsc jak wodospady Wiktorii. Żadnych blogów włóczykijów, niezależnych podróżników. Żadnych też doniesień w prasie o obecnych nastrojach politycznych. W takiej sytuacji, trafiliśmy na strony rządowe - poradniki dla podróżnych na stronach ambasad Polski, Wielkiej Brytanii, USA i Australii. BŁĄD, SKUCHA, WIELKI BŁĄD!!! Wróciliśmy do kościoła, w którego garażu mieliśmy rozbity namiot i zaczęliśmy czytać te ambasadorskie mądrości.

Na wszystkich trzech stronach, wszystkich uaktualnionych rzekomo w czerwcu, lipcu oraz sierpniu tego roku, widniały te same informacje o Zimbabwe - totalny rozpad, bandytyzm, bieda, rasizm, napady z bronią, aresztowania, pobicia i morderstwa białych, pustki w sklepach, brak paliwa, prądu, rozwalone drogi, szalejąca cholera i malaria w całym kraju, a do tego we wrześniu ma odbyć się referendum które może doprowadzić do strzelanin i zamieszek zarówno w miastach jak i wioskach. Aby pełniej przedstawić obraz Zimbabwe, jaki się przed nami rysował oraz lepiej móc wytłumaczyć dlaczego obawialiśmy się wjazdu do tego kraju, poniżej przytoczę niektóre informacje, które widnieją na rządowych stronach.

Informator dla podróżnych Polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych:

W Zimbabwe nie ma agenta polskich towarzystw ubezpieczeniowych. Zaleca się więc ubezpieczenia osobowe w renomowanych firmach międzynarodowych. Praktycznie w całym kraju występują ogniska cholery. Miejscowe służby sanitarne i medyczne są niewydolne, infrastruktura wodociągowa i kanalizacyjna funkcjonuje jedynie w dużych miastach (Harare, Bulawayo). Bardzo duża jest zachorowalność na AIDS. Brak opieki medycznej o standardzie europejskim. W nielicznych szpitalach w Harare możliwa jest jedynie opieka o charakterze interwencyjnym. Występują okresowe braki paliwa - zarówno benzyny, jak i oleju napędowego. Bardzo zły stan dróg publicznych.

Częste blokady dróg. Nie zaleca się korzystania ze środków komunikacji publicznej ani podróżowania po zapadnięciu zmroku. W czasie podróży należy zamykać okna i drzwi samochodów. Należy nosić przy sobie poświadczony notarialnie bądź w ambasadzie kopie dokumentów tożsamości.

Istnieje poważne zagrożenie przestępczością zarówno w miastach Harare i Bulawayo, jak i na terenach wiejskich. Nierzadkie są przypadki kradzieży pieniędzy i paszportów z pokoi hotelowych. W związku z kryzysem polityczno-społecznym wzrosła liczba napadów z bronią w rękę, których ofiarami są często właściciele luksusowych samochodów.

Nie ma polskiej placówki dyplomatycznej. Najbliższe polskie przedstawicielstwo dyplomatyczne to Ambasada RP w Pretorii (RPA).

Do tego na stronach ambasad Wielkiej Brytanii, USA i Australii przeczytaliśmy co następuje:

Od początku 2011 roku zanotowano wzrost zastraszania oraz przemocy na tle politycznym zarówno na obszarach wiejskich jak i miejskich (także na przedmieściach Harare). W lutym 2011 uzbrojony gang Weteranów najechał i spustoszył centrum biznesowe Harare.

Podczas kampanii wyborczej w 2008 roku odnotowano liczne zatrzymania, pobicia, tortury i morderstwa przeciwników prezydenta Mugabego oraz jego partii rządzącej ZANU (PF) - członków opozycji, pracowników organizacji pozarządowych, prawników i innych postrzeganych jako przeciwników rządów Mugabego. Policja nie reaguje i nie interweniuje w przypadkach przestępstw na tle politycznym.

Od 2000 roku większość farm przemysłowych należących do białych jest okupowana lub została przejęta przemocą przez tzw. Weteranów Wojennych.

Należy być niezmiernie uważnym odwiedzając nieznaną sobie obszary rolnicze ze względu na szalejących tam i szerzących bezprawie Weteranów Wojennych.

Na skutek kiepskiej sytuacji politycznej, przestępczość jest dużym problemem w Zimbabwe.

Większość napadów odbywa się bronią palną. Wielu turystów (amerykańskich) zostało obrabowanych i pobitych w centrum Harare.

Drogi są w fatalnym stanie a wypadki drogowe są częstą przyczyną zgonów. Pomoc medyczna jest ograniczona jedynie do podstawowych zabiegów a ambulans może nie dotrzeć na miejsce wypadku z powodu braku paliwa.

Policja bardzo często stosuje oznaczone, bądź nie (ad hoc) blokady drogowe. Należy zachować niezmierną ostrożność zbliżając się do nich, szczególnie nocą. Jeśli zostaniesz zatrzymany, staraj się współpracować z oficerami i stosuj się do ich poleceń. Jeśli to tylko możliwe miej ze sobą telefon komórkowy bądź jakiś inny, alternatywny środek komunikacji.

W miastach częste są rabunki aut z bronią. Należy mieć zawsze zablokowane wszystkie drzwi. Nie poleca się zatrzymywania na światłach. Zbliżając się do skrzyżowania należy zwolnić odpowiednio, tak aby w międzyczasie światło zmieniło się na zielone. Nie zaleca się też zatrzymywania na poboczach, szczególnie w okolicach Beitbridge.

Przestępstwem jest niezatrzymanie się gdy zbliża się prezydencka kolumna samochodowa. Gdy nadjeżdża prezydent, należy zjechać na pobocze i niezwłocznie się zatrzymać, niezależnie po której stronie drogi się znajduje. Znane są liczne przypadki przemocy wobec kierowców za to, że zatrzymali się w niewłaściwym miejscu lub nie zatrzymali się odpowiednio szybko na widok nadjeżdżającego prezydenta.

Krytykowanie prezydenta Mugabego oraz jego rządu jest niezgodne z prawem. Należy unikać jakichkolwiek dyskusji politycznych. Nie wolno mieć żadnych materiałów uważanych przez rząd za obraźliwe.

Otwarta dłoń jest symbolem opozycji. Nie należy więc machać do nikogo, ponieważ ten przyjazny gest może to być odebrany jako wyrażanie swoich poglądów politycznych.

Nie wolno fotografować siedziby prezydenta, centr przesyłowych energii elektrycznej, poczty, ani skupisk ludzi. Zdarzało się, że turyści byli przetrzymywani przez policję godzinami za zrobienie zdjęcia kościoła, meczetu czy synagogi.

Obcokrajowcy podejrzani o działania przeciwrządowe, są wtrącani do aresztu i przetrzymywani tam od 48 godz do 14 dni. Nierzadko konsul nie dostaje prawa na odwiedzinę zatrzymanego. Często też ambasada w ogóle nie jest informowana o zatrzymaniu obywatela jej kraju.

Z powodu zapaści służby zdrowia, większość poważnych chorób lub wypadków wymaga ewakuacji medycznej do Republiki Południowej Afryki przy czym zarówno szpitale w Zimbabwe jak i firmy zajmujące się organizacją ewakuacji medycznej, oczekują natychmiastowej zapłaty w gotówce. Nawet w poważnych wypadkach drogowych, nie zostanie udzielona pomoc, jeśli nie zapłaci się 2 tys. dolarów amerykańskich na pokrycie podstawowych kosztów leczenia.

Z powodu braków paliwa, ofiary wypadków muszą same zorganizować sobie transport do szpitala. Należy zabrać ze sobą wszystkie niezbędne leki, ponieważ w Zimbabwe brakuje nawet podstawowych medykamentów.

Z powodu szalejącej cholery powinno się pić wyłącznie butelkowaną lub przegotowaną wodę raz jeść potrawy wyłącznie przygotowane na butelkowanej lub przegotowanej wodzie,

Na koniec znaleźliśmy pobudzające wyobraźnię statystyki konsulatu brytyjskiego w Harare:

W okresie od 1.04.2010 - 31.03.2011, 28 obywateli Wielkiej Brytanii wymagało opieki konsularnej, z następujących powodów: 17 zgonów, 2 hospitalizacje i jedno aresztowanie.

Po przeczytaniu tego wszystkiego oraz z powodu nieustannych komentarzy ze strony Mozambijczyków, jedynie potwierdzających te informacje, wszystko nam w głowach wirowało. Nasze nastroje dotyczące wjazdu do Zimbabwe zmieniały się parę razy w ciągu godziny. Jedziemy, nie jedziemy, jedziemy, nie jedziemy, jedziemy, nie jedziemy...

Pod koniec dnia, ruszyła maszyna wyobraźni i zaczęliśmy snuć najgorsze scenariusze:

Po pierwsze skojarzyło nam się to wszystko z atmosferą z filmu o Ugandzie - „Ostatni król Szkocji”, w którym to właśnie, prezydent mający się za króla stał się panem życia i śmierci swoich ludzi. Zaczęłam widzieć oczami wyobraźni panoszących się murzynów z kałasznikowami na blokadach drogowych. Groźnych i nieobliczalnych, tak bardzo nieobliczalnych jak tylko może być biedak, któremu dali do ręki władzę. Zaczęliśmy zastanawiać się nad tym, co będzie gdy nas zatrzymają na

blokadzie i wymyślą jakiś powód, by wsadzić do aresztu? Przecież nasza ambasada jest dopiero w RPA, nawet nam nie będą mogli pomóc! Do tego wizja szalejących po kraju, uzbrojonych Weteranów Wojennych, prezydenckich dzikich eskort samochodowych i policjantów, którzy za zrobienie zdjęcia wózka z warzywami mogą zgarnąć cię do ciupy. Nie, nie uśmiechało nam się to wszystko!

Do tego Krzycho dopiero co przeszedł malarię i wiedzieliśmy, że w Zimbabwe będziemy musieli ponowić testy, aby upewnić się, czy choroba rzeczywiście została wyleczona. Wszyscy napotkani Mozambijczycy zgodnym chórem mówili - „Co ty, zapomnij! W Zimbabwe nikt ci nie robi takich testów! A jeśli będziesz miał nawrót choroby, nie zdobędziesz nigdzie leków!”

Po wypadku Rafała, który przeżyliśmy w Kenii, oczywiście jeszcze inne myśli zaprzętały mi głowę. Myśli, których wcześniej raczej nie miewałam, a teraz, nauczona już doświadczeniem, zaczęłam brać też i takie opcje pod uwagę - A co jeśli któreś z nas będzie miało wypadek? Jak wezwiemy pogotowie (nie mówiąc już o helikopterze, który w Kenii uratował Rafałowi życie), skoro sieć komórkowa nie łączy nigdzie poza dużymi miastami? Jeśli nawet uda się połączyć, to jak do nas dojadą, skoro notorycznie nie mają paliwa? A jak w kraju nie ma paliwa, to nawet nie ma co liczyć na pomoc kogoś z prywatnym samochodem...A co jeśli ktoś z nas będzie miał tak poważne obrażenia jak Rafał? Przecież w szpitalach nie ma nawet podstawowych leków, nie mówiąc już o poważnej operacji!

A nawet jeśli przyjedzie pogotowie i będą mieli odpowiedni sprzęt w szpitalu, jak za to zapłacimy z góry tysiącami dolarów, jeśli nasze ubezpieczenia nie są w Zimbabwe rozpoznawane?

I tak rozmyślając długo, w końcu poczułam, że to nie ma sensu. Po co mamy ryzykować, tylko po to, żeby udowodnić, że urzędnicy siedzący za biurkiem w ambasadzie nie mieli racji? Z jednej strony z własnego doświadczenia, wiem doskonale, że nie ma co słuchać ani pesymistów, których zawsze jest pełno wkoło, ani doniesień z mediów ani ambasadorskich opinii. Ale z drugiej strony, gdzie jest ta granica, od której może powinno się jednak trochę nadstawić uszy na to co mówią inni? Tylko gdzie jest ta granica? Po co mamy ryzykować, żeby łamać kolejne stereotypy? Już prawie całą Afrykę przejechałam, jesteśmy niemal u kresu tej podróży, do tej pory cali i zdrowi. Po co mam coś pod sam koniec schrzanić? Po co mam się pod sam koniec, pakować w tarapaty, i to na własne życzenie? Jeszcze mi się przypomniła jedna relacja na Wiki Travel, w której gościu opisywał, że podczas pobytu w Zimbabwe parokrotnie ludzie go wyzywali, byli niemili, agresywni i raz został skonfrontowany z pijanym mężczyzną, który wyzywał go od białasów i kazał wypierda...ac tam skąd przyjechał. Leżałam tak w nocy, rozmyślałam i w końcu powiedziałam - „Krzychu, jeśli miałbyś wypadek i nie przeżyłbyś go tylko dlatego, że z braku paliwa karetka nie mogła po ciebie przyjechać, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła! Mieliśmy już tyle przygód, tyle jeszcze nas przygód czeka, może tą jedną, zimbabweńską możemy sobie odpuścić? Wiesz, możemy spędzić tam wspaniałe dwa tygodnie, a może to okazać się największym koszmarem w naszym życiu. Po co? Wiesz, jak jest na rowerach. Jeśli dwa razy w ciągu dnia ktoś mnie zbluzga, to nawet jeśli potem 50 osób pomacha i powita uśmiechem, to już ten dzień jest i tak spalony. Nie chce mi się jechać tam, żeby ludzie mnie wyzywali. Myślę też o tych blokadach, o agresywnych policjantach i ogólnie o dyktatorskiej atmosferze...” Krzycho tylko odparł - „No to nie jedziemy!”

Jako, że decyzja o tym, że rezygnujemy z Zimbabwe zapadła, rano poszliśmy do urzędu imigracyjnego w Chimoio przedłużyć nasze mozambickie wize o kolejny miesiąc. Pan w okienku powiedział, że jeśli przyjdziemy jutro, to przedłuży nam wize od ręki, a teraz musielibyśmy czekać. Odeszliśmy zadowoleni. Właściwie to ucieszyliśmy się, że jeszcze możemy odwlec decyzję, którą niby już podjęliśmy, a jednak okazało się, że nie. W naszych głowach wciąż bowiem kotłowało się „jechać, nie jechać, jechać, nie jechać, jechać, nie jechać..” To był punkt zwrotny w całej tej historii. Został nam dany jeszcze jeden dzień do namysłu i traf chciał, że akurat tego dnia, po raz pierwszy spotkaliśmy ludzi, którzy byli w Zimbabwe niedawno a nie jak pozostali 3 - 4 lata temu i wszyscy mówili, że nie jest tak źle, jak to się ogólnie uważa. Niektórzy mówili nawet, że drogi są bardzo dobre a półki w sklepach pełne. I komu tu wierzyć??? Ostatecznie stwierdziliśmy jednogłośnie - TYLKO SOBIE SAMEMU I SWOIM WŁASNYM DOŚWIADCZENIOM. JEDZIEMY!

Skoro decyzja zapadła, nakreśliliśmy wstępnie trasę, która miała omijać wszystkie duże miasta (w tym w szczególności stolicę Harare), oraz która miała nas w dwa tygodnie wyprowadzić z Zimbabwe do Południowej Afryki. Zrobiliśmy olbrzymie zakupy - zapasy fasolek w puszcze, zupek w proszku, makaronu, ryżu a nawet chleba (no bo przecież prawie wszyscy mówili, że tam w sklepach nie ma jedzenia). Poinformowaliśmy też ambasadę brytyjską w Harare o naszych planach, by w razie jak by coś się stało, mieć jakąś opiekę konsularną, no i żeby ktoś w ogóle wiedział, że tam jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Ponieważ tego dnia jeszcze wiele osób wyrażało swoje opinie na temat Zimbabwe, mieliśmy już całkowity mętlik w głowach. Postanowiliśmy więc, że pojedziemy wpierw do Mutare, pierwszego

miasta po stronie Zimbabweńskiej, oddalonego jedynie 10 km od granicy i tam spytamy księży o stan dróg i ogólną sytuację polityczną. Uznaliśmy, że powinni być zorientowani, jako osoby, które przeważnie dość dużo podróżują od parafii do parafii oraz jako osoby, które często „na swoim podwórku” nie boją się wyrażać opinii politycznych. Stwierdziliśmy, że wobec tylu niewiadomych, najlepiej spróbować zdobyć informacje na miejscu oraz też na własnej skórze poczuć jaka atmosfera panuje w mieście. Postanowiliśmy, że jeśli coś nam nie będzie odpowiadać albo wieści na miejscu będą zastraszające, wrócimy do Mozambiku. Mutare jest położone tak blisko granicy, że zawsze można zawrócić.

I tak obładowani toną wody i dwiema tonami jedzenia, ruszyliśmy wczoraj z Chimoio w stronę granicy. Ostatnią noc w Mozambiku spędziliśmy w Manice, 20 km przed granicą, gdzie byliśmy goszczeni przez Martina, Austriaka, którego poznaliśmy parę dni wcześniej. Jego znajomi, Niemcy, byli bardzo zdumieni, kiedy powiedzieliśmy im o informacjach, które przeczytaliśmy na stronach ambasad. My byliśmy natomiast zdumieni, kiedy oni powiedzieli nam, że Zimbabwe w porównaniu z Mozambikiem to kraina miodem i mlekiem płynąca, że tam robią wszystkie zakupy, bo mogą dostać rzeczy, których w Mozambiku nie ma, oraz, że (uwaga!) jeżdżą ze swoim noworodkiem raz w miesiącu do lekarza, do Harare, bo tam są specjaliści i kliniki o jakich się Mozambijczykom jeszcze nie śni! No to już zupełne pomieszanie z poplątaniem! Jedne informacje kompletnie nie przystają do innych. Komu tu wierzyć? Wygląda na to, że jedynie WŁASNYM OCZOM! Ucieszyłam się szczerze, że jednak jedziemy i sami się o tym wszystkim przekonamy!

Dziś, z samego rana, pożegnawszy się z naszymi gospodarzami, ruszyliśmy w stronę granicy. Już sam budynek zrobił na nas spore wrażenie. Pierwsze przejście od niepamiętnych czasów, czyste, wyłożone pseudo marmurami i ukwiecone. Wszystko poszło sprawnie - formularze, wizy, pieczętki i już byliśmy po drugiej stronie. Ponieważ w międzyczasie zrobiła się pora obiadowa oraz słońce mocno już przygrzewało, podtoczyliśmy się kawałeczek od granicy i zatrzymaliśmy na stacji benzynowej. Usiedliśmy na schodkach i zaczęliśmy rozkładać się z jedzeniem. Pierwsze co zwróciło naszą uwagę były cisza i spokój! Nikt nie podszedł się gapić, żebrać ani nie próbował się przysiądać! Ludzie podjeżdżali, tankowali, pozdrawiali nas z uśmiechem i jechali dalej. A na słowo Polska, nie wybałuszali oczu i nie robili zdziwionej miny, tylko (nie do wiary!) WIEDZIELI GDZIE TO JEST! Jeden pan nawet, usłyszawszy nazwę naszego kraju błyskawicznie wyrzucił z siebie - „Warszawa, Jaruzelski, Wałęsa, Jan Paweł II, rozbiory!” Tym razem nam oczy wyszły na wierzch ze zdumienia. Szacun! Naprawdę nam facet zaimponował. Gdy z niedowierzaniem spytaliśmy skąd to wszystko wie, gościu prawie był urażony, że robi to na nas aż takie wrażenie i z nutą niemalże wyższości nad nami powiedział - „Ze szkoły, a skąd!? Poza tym interesuję się historią to wiem!” Odjechał a my z Krzychem jeszcze długo nie mogliśmy ochłonąć z szoku! PIERWSZA osoba w Afryce wiedziała AŻ tyle o naszym kraju! Normalnie, na co dzień, w każdym kraju na Czarnym Lądzie, przebieg konwersacji wyglądał tak:

- Where are you from?

- From Poland.

- Oh, from Holand! I tu padał ciąg holenderskich nazw klubów oraz piłkarzy a potem stwierdzenie „Holland, great, I love your country!”

Z czasem nauczyliśmy się, że trzeba od razu zaznaczać różnicę pomiędzy Poland a Holland więc zmieniliśmy taktykę:

- Where are you from?

- From Poland, i tu od razu na jednym tchu dodawaliśmy „No football! Poland no football!”

To pomagało, ale często w odpowiedzi słyszeliśmy współczujące „sorry”. No bo jak może być kraj bez footballu? Rzecz w Afryce nie do pomyślenia!

Kolejny typowy schemat rozmowy wyglądał tak:

- Where are you from?

- From Poland.

- Yes! I love your country! I would love to visit your country! What can I do to go to your country? May be you can take me to your country? I think your country is very nice! Yes, I love your country, what was it name?

- Poland.

Oh, yes! Take me there, I love your country, Poland!

O tyle, o ile rozmowy z entuzjastami wypadów do Europy oraz fanami footballu nie zawsze były łatwe (szczególnie jeśli taką samą konwersację toczyliśmy czesem kilkanaście do kilkudziesięciu razy dziennie), to najkrótsze i najprostsze rozmowy były z tymi, którzy na hasło Poland pytali - „Poland, how far?” - czyli jak to daleko. Wtedy wystarczy rzucić afrykańską odpowiedź - „Too far!” - czyli za daleko! I to zdumiewająco, za każdym razem wystarcza! Nie ma więcej pytań! Przecież w Afryce

daleko, to daleko.

No ale wracając do wyedukowanego Zimbabweńczyka, nie trudno zrozumieć, że zrobił na nas wrażenie! Podekscytowani zaczęliśmy się cieszyć, że może więcej takich osób z Zimbabwe spotkamy.

Gdy trochę się posililiśmy, powoli zebraliśmy rzeczy i ruszyliśmy dalej. Okazało się, że cała droga z granicy do Mutare to całkiem stromy podjazd. Pięliśmy się więc powoli na naszych niemalże do granic możliwości objuczonych rowerach. Już w trakcie tej wspinaczki cały czas nam coś nie pasowało, ale gdy po godzinie pojawiły się pierwsze zabudowania, wyraźnie oboje czuliśmy, że coś jest nie tak! Miały być rozwalone drogi, brud i bieda a tu KOLOROWO, wszystko ukwiecone, zielone trawniki, elegancki asfalt i strzeżone osiedle???

Zanim dotarliśmy do samego centrum, zobaczyliśmy po naszej prawej stronie wielki kościół. Zajechaliśmy tam, aby spytać czy możemy rozbić się na jedną noc, no i wypytać o sytuację w kraju. Przywitał nas stary, czarny ksiądz, który od razu zgodził się ugościć nas w ogrodzie. Zostawiliśmy rowery na werandzie i korzystając jeszcze ze światła dziennego, ruszyliśmy do miasta. Dodam, że jeszcze dziś rano znaleźliśmy jeden wpis na blogu sprzed 2 lat, w którym było napisane, że w Zimbabwe infrastruktura jest zniszczona, tynki odpadają ze ścian, większość sklepów jest pozamykana a po ulicach smętnie snują się nieliczni ludzie. Szaro i smutno. JAKIEŻ ZDUMIENIE nas ogarnęło gdy dotarliśmy do centrum! Nawet nie da się tego opisać. Po pierwsze PIĘKNIE, CZYSTO I KOLOROWO! Powitała nas długa ulica wysadzana palmami z piękną staroangielską kolonialną zabudową oraz z bardziej współczesnym brytyjskim budownictwem z czerwonej cegły, którego bardzo dużo w całej Brytanii. Stanęliśmy jak w murowaniu! Po chodnikach (chodnikach! Ostatni raz chodniki widzieliśmy w Nairobi, w Kenii!) przechadzały się spokojnym krokiem tłumy ludzi. Każdy uśmiechnięty od ucha do ucha, do tego połowa z lodami w rózku w rękę. Ruszyliśmy w dół ulicy wraz z tłumem. Szliśmy z ludzką falą, zupełnie zahipnotyzowani, co chwilę przecierając ze zdumienia oczy, przed którymi mieniły się liczne banki, zagraniczne supermarkety, drogie samochody, otwarte na ulicę pizzerie i lodziarnie. Co chwila tylko mi migąło – Spar, Barclays, Lloyds, Nokia, Siemens, BMW, Shoppies, Pizza Inn, Creamy Inn. Co się dzieje? Przecież miało być tak biednie, tak szaro, tak beznadziejnie! A to nie koniec, to dopiero początek! Weszliśmy do pierwszego supermarketu i stanęliśmy zupełnie jak wryci! Takiego wyboru produktów, takiej obfitości marek i zapełnionych półek nie widzieliśmy nigdzie, ani w Afryce, ani na Bliskim Wschodzie. Chodziliśmy jak dzieci we mgle, OGLĄDAJĄC sklep i pokazując sobie produkty palcami - „Krzychu zobacz, żółty ser! Krzychu zobacz, jogurt smakowy! Krzychu zobacz, masło orzechowe! Dżem! Nutella! Czekolada! Snickersy! Mleko sojowe! Masło! Musli! Chleb pełnoziarnisty!” Produkty, o których mogliśmy jedynie pomarzyć przez całą drogę i czasem niektóre dostać w stolicach afrykańskich miast, tu wszystkie naraz były na półkach i mieniły się kolorami! Nigdy się nie spodziewałam, że mogę wpaść w taki entuzjazm z powodu wizyty w supermarkecie! A jednak! Szczególnie, że w Mozambiku przez miesiąc jadłam niemal wyłącznie kassawę (maniok) z pomidorami. To wszystko! Żadnej fasoli, żadnych nabiałów, żadnych innych warzyw. Oboje byliśmy po Mozambiku wycieńczeni i wygłodniali więc nagłe zobaczenie tej całej obfitości wprawiło nas naprawdę w euforię. Przede wszystkim docierała do mnie świadomość, że wreszcie będę mogła się NAJEŚĆ!:-)

Wyszliśmy ze sklepu, niewiele dzierżąc w dłoni. Byliśmy tak oszołomieni, że trudno nam było się na coś konkretnego zdecydować. Ruszyliśmy dalej w celu kupienia karty SIM do telefonu. Gdy dotarliśmy na miejsce, kolejny szok! Wielki, klimatyzowany salon z wyeksponowanymi komórkami na przezroczystych bryłach z plexi, podświetlanymi na niebiesko od spodu, a wokół kilkanaście stanowisk z nowoczesnym komputerami do korzystania z internetu. Karty kupiliśmy bezproblemowo, za 2\$ każda, a nie za 200\$ jak wcześniej czytaliśmy. Pokręciliśmy się jeszcze po mieście z niedowierzaniem patrząc na wszystko wkoło. Ludzie ubrani po europejsku – dżinsy, t-shirt, trampki. Jak za dotknięciem magicznej różdżki znikły też kobiety opasane kolorową chustą, niosące zakupy na głowie. Właściwie to dziwnie jakoś...Cały Bliski Wschód (poza Libanem), cała Afryka, wszędzie to samo – kobiety, jeśli mużulmanki to całkiem zakryte, jeśli nie, to przepasane chustą, z zakupami, ciężarami ZAWSZE na głowie! Nagle, cofnęłam się o rok i parę miesięcy i poczułam jak na Cyprze! Tam ostatni raz widziałam masowo kobiety w dżinsach, z zakupami w rękę a nie na głowie, i tam też ostatnio widziałam ludzi przechadzających się z lodami. Tam ostatni raz widziałam tyle produktów na sklepowych półkach. Coś niesamowitego! I pomyśleć, że my, jak idioci, zrobiliśmy zapasy na Zimbabwe w Mozambiku, jednym z najbiedniejszych krajów świata!!!

Do tego dodam jeszcze, że każdy zapytany o drogę murzyn, uśmiechał się do nas szeroko, pytał jak się mamy i ochoczo prowadził do celu.

Wróciliśmy do kościoła, rozbiliśmy namiot a z naszych ust jeszcze do późnego wieczora nie zniknęła stała mantra - „Ale zaskoczenie, ale zaskoczenie, ale zaskoczenie!”





[4]



[5]



[6]



[7]



[8]



[9]

**Source URL:** <http://www.biketheworld.pl/zimbabwe-dzien-pierwszy-wierzyc-tylko-wlasnym-oczom>

## Links:

[1] <http://www.biketheworld.pl/zimbabwe>

[2] <http://www.biketheworld.pl/adela-country/274>

[3] <http://www.biketheworld.pl/biuletyn/newsletter-biketheworldpl>

[4] [http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria\\_big/Adela/PICT3425.JPG](http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria_big/Adela/PICT3425.JPG)

[5] [http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria\\_big/Adela/PICT3415.JPG](http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria_big/Adela/PICT3415.JPG)

- [6] [http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria\\_big/Adela/PICT3423.JPG](http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria_big/Adela/PICT3423.JPG)
- [7] [http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria\\_big/Adela/IMG\\_8306.JPG](http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria_big/Adela/IMG_8306.JPG)
- [8] [http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria\\_big/Adela/IMG\\_8297.JPG](http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria_big/Adela/IMG_8297.JPG)
- [9] [http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria\\_big/Adela/IMG\\_8295.JPG](http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria_big/Adela/IMG_8295.JPG)